

SKRZYŃNIA Z ZAMKU ANIOŁA

I

Rzym płonął.

Później mówiono, że przybyło z nami aż trzydzieści tysięcy dzikich Saracenów. Czcze wymysły — gdybyśmy mieli taką armię, zawojowalibyśmy całą Italię. A przecie zadowoliliśmy się splądrowaniem stolicy apostolskiej.

Nas było mniej niż Saracenów, najwyżej tysiąc. Jednak dla wszystkich, i dla obu cesarzy, i innych władców Europy jasnym pozostawało, iż to my, Normanowie, złupiliśmy Rzym. O Arabach pamięta się dlatego, że pozwoliliśmy im urządzić plugawe modły w chrześcijańskich kościołach nadtybrzańskiego miasta. Przyznaję, iż ojciec mój, Robert Guiscard, i ja dopuściliśmy się tego haniebnego czynu w chwili podniecenia bojowego. Decyzja była niegodna tak prawych, chrześcijańskich władców jak my, ale obyło się bez konsekwencji, przynajmniej na tym świecie. Papież nie rzucił na nas klątwy, gdyż od lat pozostawaliśmy z nim w przymierzu, zaś władza Henryka, cesarza Niemców, nie sięgała na południe Italii, gdzie mieliśmy zamki.

Wiem już, że ojciec nie uczyni mnie swym dziedzicem. Wyrzeknie się mnie, swego pierworodnego! Wiernego towarzysza największych bojów! Twierdzi, że zmienilem się po śmierci papieża Grzegorza — stałem się nieustępliwy, twardy i hardy, że brak mi najważniejszej cechy władcy j — litości. Zupełnie, jakbym opuścił komnatą umierającego papieża jako inny człowiek. Jakby coś we mnie wstąpiło.

Walczymy teraz na greckich wyspach, rozbijając Bizantyjczyków w pył. Ale mnie ciągnie z powrotem do domu, a ojciec niedomaga. Toczy go koszmarna choroba, która trzebi szeregi naszej armii. Nie zobaczy więcej ulubionego zamku w Salerno. Zostanę z nim do końca, mimo i że pragnę wracać, że wracać muszę, gdyż mój przyrodni S brat Roger już obejmuje większość przynależnych mi po I starszeństwie ziem. Zostanę z ojcem do końca.

Wedle woli rodzica przypadnie mi ledwie miasto Tarent z okolicami. Na szczęście, pod Amalfi, nad Zatoką Neapolu, mam trzy zasobne majątki po matce, mogę więc I prowadzić morskie poszukiwania, które planuję od dłuższego czasu. Od rozmowy z Munkidhem? A może od śmierci ci Grzegorza?

Słyszałem o pewnym greckim uczonym z dalekiej Baktrii czy Kafiristanu, w każdym razie z dalekich ostępów Azji. Być może on zdoła wspomóc mnie swą wiedzą. Poślę po niego, nim jeszcze opuszczę bizantyjskie wyspy.

* * *

Gdyby nie dymy, ciężko unoszące się niezliczonymi smugami nad Rzymem, moglibyśmy się kąpać w promieniach słońca. Wszakże Stolica Piotrowa była w tej chwili stolicą jedynie ognia i rzezi. Właściwie zabroniliśmy zabijania zbyt wielu rzymian, ale wojownicy trzymali się rozkazu tylko pierwszego dnia. Potem każda przelana krew wołała o następną. Na dodatek, nawet gdybyśmy chcieli, nie zapanowalibyśmy nad Saracenami. Dostali zwyczajowe trzy dni na złupienie miasta, a my nie byliśmy na tyle głupi, by im przeszkadzać.

Staralem się nie zwracać uwagi na zawodzenie muezzina, dobiegające od strony Pałacu Papieskiego na Lateranie.

Odwróciłem się od okna. Na fotelu ustawionym w najciemniejszym kącie komnaty siedział leciwy człowiek, któremu wydarzenia ostatnich dni jeszcze dodały lat. Nosił pancerz znakomitej roboty, ale w sztywnej, obszernej zbroi wyglądał jak zasuszony owad w zbyt dużej skorupie.

— Zniszczyliście mój Rzym — szepnął martwym głosem.

— Spodziewałeś się tego, panie, a mimo to wezwałeś nas przeciw cesarzowi. Widać, ważniejsze było dla ciebie coś innego niż Rzym i jego mieszkańcy — powiedziałem beznamiętnie, rozmasowując kark.

— Jesteś pewien, że ważniejsza jest dla mnie władza? — Uśmiechnął się starzec. Uświadomiłem sobie, że już nawet w myślach nie nazywam go papieżem, choć nadal nominalnie nim pozostawał.

— A cóż by innego? — Nie zamierzałem się kłócić. Naprawdę niegdyś podziwiałem tego człowieka, który, nie dysponując armią, a jedynie czymś tak ulotnym jak autorytet, potrafił upokorzyć cesarza Niemców i zmusić do uznania własnej wyższości. Ale potem nadeszły czasy przewagi zimnego żelaza, którym tak sprawnie władali wojownicy zza Alp.

Nie odpowiedział, jednak wtedy sprawa przedstawiała się dla mnie tak jasno, że nawet nie zwróciłem uwagi na jego minę. Trochę tajemniczą, podszytą grymasem, który wziąłem za wyraz smutku.

Znów wyjrzałem przez okno. Zapewne widok z Zamku Świętego Anioła potrafiłby mnie zauroczyć, gdyby nie wszechobecne dymy i płomienie. Cóż, Rzym, pępek chrześcijańskiego świata, przyszło mi oglądać w ciężkich czasach. Uśmiechnąłem się, zadowolony.

— Wejść! — krzyknąłem, słysząc pukanie do drzwi.

— Panie. — Jeden z przybocznych skłonił się papieżowi. Ja nie wymagałem takich ceremonii od rycerzy normańskiej krwi. — Pakowanie sprzętów zgromadzonych w zamku zakończone.

Skinąłem głową, a Grzegorz spytał:

— Czy mój księgozbiór znajduje się w odpowiednich skrzyniach, jak to poleciłem?

— Tak, wasza wielbność, zgodnie z życzeniem.

— Ile mamy zdobyć? — spytałem bez ceregieli, choć, nawet nie patrząc na papieża, wiedziałem, iż się skrzywił. Mimo że nas wezwał, nie podobało mu się łupienie Rzymu. Zapewne wyobrażał sobie tę wojnę jako bezkrwawe przepędzenie cesarskich pachołków. A potem triumfalny przemarsz pomiędzy tłumami tak kochających niezależność rzymian...

— Dwie setki i dwadzieścia funtów złota, do tego sześć tysięcy funtów srebra. Zgodnie z rozkazami, braliśmy tylko kruszec. Saraceni łupili na własną rękę.

— Dobrze, możesz dać znak do przenoszenia skrzyń na statki. Chcę odplnąć rankiem. — Widząc pytający wzrok przybocznego, dodałem: — Nie zwracajcie uwagi na Arabów. Jeśli sami nie przestaną grabić, i tak ich nie powstrzymamy. Zawiadom mego ojca o tym, co postanowiłem.

Nie dodałem, że będzie dla nas z korzyścią, jeśli Saraceni zostaną tu dłużej. Prędzej czy później patrycjusze rzymscy zbiorą wojska, albo nawet cesarz opanuje strach i uderzy na Wieczne Miasto. Świetnie, jeśli stępi pazury na tych brudnych, ale walecznych Saracenach, nas już dopaść nie zdoła.

* * *

Prace na dnie morza rozpocząłem przy sprzyjającym ustawieniu gwiazd, kiedy rodzime słońca Wielkich stanęły do siebie w opozycji. Jezu Chryste, Panie nasz i Zbawicielu, musiałem chyba oszaleć, żeby dojść tak daleko. Munkidh ostrzegal, że jeśli będę chciał podążać w te rejony wiedzy, muszę mieć się na baczności. Nie, jeszcze nie przekroczyłem granicy, a jeśli Pan pozwoli, nigdy jej nie przekroczę. Ale me pragnienie wiedzy jest tak silne, że czasami zadaję sobie pytanie, czy zdołam je przytłumić ograniczeniami, które postawiłem sobie na samym początku.

* * *

Korytarze Zamku Anioła mierzyły mnie ponurymi, zimnymi murami, jakże odmiennymi od zdobnych twierdz, jakie zdobywaliśmy na Bizantyjczykach w Kalabrii, oraz subtelnych fortec Arabów, które opanowywaliśmy na Sycylii. Zamek Anioła przypominał znane z opowieści ojca ponure budowle jego ojczystej Normandii. Cóż, w końcu wzniesiono go nie ku wygodzie, a jako twierdzę, chroniącą miejsce ostatniego spoczynku zapomnianych cesarzy okrutnego Rzymu.

Wszakże ta atmosfera zdawała się nie przeszkadzać Grzegorzowi. Kiedy, przeprosiwszy ojca i mnie, odszedł od wieczerzy, nadal wyglądał na przygnębionego. Jednak w korytarzach, omieciony

surowym, przenikliwym powiewem grobowca, wyprostował się i ruszył żwawszym krokiem. Nie przypuszczał, że za nim idę, a i ja nie miałem pojęcia, po co to robię. Wiedziałem przecież, że za chwilę zniknie w komnatach, gdzie kazał zgromadzić skrzynie z rękopisami.

Powodowany nierycerską ciekawością — a przecież miałem tyle ważniejszych spraw na głowie — stałem chwilę pod drzwiami papieża. Wzdrygnąłem się, kiedy wydało mi się, że brązowa kołatka w kształcie łba Gorgony uśmiechnęła się, szczerząc ostre, spiłowane zęby, a jej węzowe kudły zwinęły się niby atakujące gady... Przetarłem oczy — przywidzenie zniknęło. Powiniennem się przespać, byłem wykończony kilkoma dniami bez snu, wypełnionymi walką j i bieraniną po wielkim mieście. Wróciłem na górę do ojca, zastanawiając się nawet, czy nie powinienem się pomodlić, aby odegnąć złe wizje, bo a nuż nie były wywołane zmęczeniem, a wolą demonów, niewątpliwie nawiedzających ten pogański zamek. Nie pomodliłem się. Moi zdewociali wujowie, mój brat — pewnie by to zrobili. Ja na szczęście byłem bardziej podobny do ojca niż do reszty rodu.

Zapomniałem o całym zdarzeniu, zanim jeszcze ujrzałem swego rodziciela, nadal zajętego ogryzaniem kości. Rzucił resztki na srebrny talerz i wytarł palce w podaną przez służącego chustę.

— Nasi saraceńscy sprzymierzeńcy proszą o posłuchanie. Ponoć to ważne — powiedział, bekając przeciągle. Udałem, że nie usłyszałem zakończenia wypowiedzi. Wychowany nie tylko przez normańskich rycerzy, ale i italskich pokojowców przesiąkniętych bizantyjskimi obyczajami, nigdy nie pozwalałem sobie na bekanie czy puszczenie wiatrów przy stole. Ani przy damach.

— Chcesz, ojcze, abym ja ich wysłuchał? — Wiedziałem, jak bardzo nie lubi oficjalnych rozmów, szczególnie z Arabami, których, podobnie jak Bizantyjczyków, uważał za zniewieściałych eunuchów. I dlatego uwielbiał ich grabić. Westchnąłem, kiedy potwierdził przypuszczenie. — Dobrze, przyjmę Saracenów o świcie.

* * *

Jak się słusznie spodziewałem, wodzowie Arabów byli zaniepokojeni naszymi przygotowaniem do odpłynięcia.

Nawet nie miałem czemu zaprzeczać, statki stały już załadowane i gotowe do rejsu.

Przewodzący afrykańskim szejkom, niemłody już, wszakże nadal trzymający w posłuchu swych wojów Sulajman ibn Rosteh okazywał mi szacunek, ale widziałem, że ledwo utrzymuje spokój. Ach, jakże inni jawili mi się Berberowie z Afryki od swych cywilizowanych krewniaków, Arabów z Sycylii! Wprawdzie podziwiałem ich odwagę, ale odpychali mnie nieokrzesaniem, dzikością. I smrodem, jaki bił od ich nasmarowanych czymś — wołałem nawet nie wiedzieć czym — ciał. Nie miałem wątpliwości, jakim imieniem ich nazywać: barbarzyńcy.

— Racz mi rzec, sławny Boemundzie, synu Roberta, czemu chcecie nas zostawić tutaj samych, niczym dzieci bezbronne u wejścia do jaskini lwa? — spytał po frankijsku.

— Wielki Sulajmanie, synu Rosteha — przemagając niechęć, rzekłem równie uprzejmie, po czym wstałem z krzesła, aby Afrykańczyk myślał, że go cenię. — Czyż nie minęły dni trzy, przeznaczone dla twych pustynnych wilków? A przecież nie zauważyłem, by przestali rabować. Sulajmanie, królu oaz, przestałeś być panem własnych wojowników? Spraw, by do południa stawili się na twych statkach, a wyruszymy razem. Tyle czasu ci daję, potem odpływam. I zostaniecie sami u wrót jaskini lwa.

Ciemna twarz szejka poszarzała z wściekłości, jednak nie rzekł nic, bo nic rzec nie mógł. Jednocześnie chyba poczuł ulgę, że żaden z jego wodzów nie zna języka Franków, bo straciłby autorytet. Miał zatem dość czasu na wymyślenie wytłumaczenia nagłej decyzji o zakończeniu łupienia Rzymu. Ukłonił mi się płytko, zamierzając odejść.

— Sulajmanie. — Powstrzymałem go ruchem ręki. Sięgnąłem ku uprzednio naszykowanej szkatułce i wyciągnąłem gruby łańcuch ze złota wykładanego czerwonymi almandynami. Ponoć należał do jednego z książąt pogańskich Longobardów, którzy niegdyś panowali nad Italią. Szkoda było tak cennego łupu dla zwykłego pustynnego psa, ale nie zamierzałem rozstawać się z Sulajmanem w nieprzyjaźni. Wsparcie, jakiego mógł mi użyczyć w przyszłości, choćby przeciw

memu bratu, ważniejsze się wydawało od nawet najkunsztowniejszego klejnotu dawnych królów. — Przyjmij ten skromny dar jako oznakę wdzięczności, że oddziały twe wsparły nasze wojska w ataku na samego lwa chrześcijaństwa. Niech przyjaźń i pokój wiecznie panują między naszymi rodami.

Musiał się nieco uspokoić, gdyż spojrzął na mnie bez wrogości. I — co ujrawszy, ledwo skryłem uśmiech — z wdzięcznością. Docenił gest, którym sprawiłem, iż jego wodzowie nadal widzieli w nas równorzędnych sprzymierzeńców. Pochylił głowę, gdy wkładałem mu na szyję ciężki łańcuch. Pilnowałem się, by nie tknąć jego brudnej skóry.

Zaskoczyłem go tym darem — nie wziął na spotkanie nic równie cennego, by się zrewanżować, przeto sięgnął po swój oręż. Nie musiał nic mówić, nawet my słyszeliśmy, że szabla ta od siedmiu pokoleń, czyli od czasów, gdy przodkowie Sulajmana przeszli na diabelską wiarę w Allacha, należała do jego rodu. Ponoć pobłogosławił ją sam prorok Muhammad.

Ja też nie rzekłem słowa, tylko wysoko uniosłem ostrze, a potem chwyciłem Sulajmana w objęcia i ucałowałem w oba policzki. Odpowiedział twardym, męskim uśmiechem. Jego honor został uratowany, a na dodatek wróci do domu ze statkami pełnymi skarbów zrabowanych w Rzymie. „Przybywam z Mekki chrześcijan jako zwycięzca!” — tak zapewne powie, stawiając stopę na nabrzeżu rodzinnej wioski.

Ja też rad byłem temu niewielkiemu przedstawieniu. Zyskałem wdzięczność nowego, i to silnego, sprzymierzeńca. Rzecz niebłaha, pamiętając, jak niepewnie przedstawiała się moja pozycja w rodzie, w którym wszyscy mogli wszystkim rzucić się do gardeł. Zaś już mój przyrodni braciszek, Roger Borsa, był prawdziwym czyścowym utrapieniem. Co zaś się stanie, gdy ojca mego Pan powoła na swe błonia?... W naszym rodzie zawsze rodziło się za dużo żądnych władzy mężczyzn.

Na razie miałem jednak inne zmartwienie. Kazałem służącemu przyszykować wodę do bizantyjskiej kąpieli w płatkach kwiatów. Źle się czułem po tych dwu pocałunkach, jakimi obdarzyłem Sulajmana.

* * *

Rok temu zaprosiłem na swój dwór Drangianosą, greckiego inżyniera rodem z Baktirii, by, kierując się antycznymi zapiskami o dokonaniach Wielkiego Aleksandra, skonstruował kryształowy balon, w którym można się opuścić pod powierzchnię morza. Być może Aleksandrowi się udało, mnie jednak — jak na razie — nie. Oczywiście, nie sam wypróbuję coraz to nowe wersje aparatu Drangianosy. Mam jeszcze w lochach kilku żywych Saracenów.

* * *

Nie wiem, jak pośród naszych zaufanych wojów, przenoszących skrzynie papieża, znalazł się ten Berber. Nie był prostakiem, co zauważyłem po jego rękach — nienawykłych do ciężkiej pracy, oraz dumnej sylwetce człeka, który rozkazuje, a nie dźwiga ciężary.

Grzegorz osobiście nadzorował transport kufrów z delikatnymi woluminami. Statecznie przemieszczał się między żołnierzami, kiwając głową i wskazując, co brać najpierw, a co później. Wojownicy spokojnie wypełniali rozkazy, ale aż się cicho roześmiałem, myśląc, jak muszą w duszy wyklinać marudnego dziadka. Chyba nawet woleliby — jak pracujący niedaleko jeńcy — spychać do wody ciała zabitych rzymian.

Od dawna wiedziałem, iż papież jest osobliwie przywiązany do ksiąg, ale nie przypuszczałem, że zdolny jest z narażeniem życia pilnować ich nawet w chwili ucieczki. Oczywiście, niektóre wartości były więcej niż dostatnia wieś, ale trudno zapisanym pergaminem opłacić wojów. Znacznie łatwiej zrabowanym srebrem czy złotem. A Grzegorz mógł mieć szansę na odzyskanie tronu tylko dzięki armii — wynajętej armii. Zaś jemu najwyraźniej chodziło jedynie o księgi. Nie zainteresował się nawet swymi, znacznie cenniejszymi od woluminów, strojami ceremonialnymi. Dziwne mi się to wtedy wydało.

Właśnie wchodziłem na kasztel flagowego okrętu, kiedy zauważyłem na nabrzeżu, pośród naszych szeregów, nagły tumult. Wokół Grzegorza skupiło się kilku zbrojnych, inni krzyczeli i gestykulowali. W pierwszej chwili myślałem, że zaskoczył ich wypad wojsk patrycjuszki rzymskich, ale nie, zaraz wszystko się uspokoiło. Papież ruszył w stronę statków. Otaczali go wojownicy, kilku z nich wlekło związanego człowieka. Zwróciłem uwagę, że Grzegorz dwa razy odwracał się ku więźniowi i próbował dosięgnąć go trzymanym w rękach sztyletem, ale zbrojni mu to utrudniali, aż wreszcie zabrali papieżowi broń.

Przywitałem całą grupę na pokładzie okrętu, ciekaw, o co chodziło. Grzegorz od razu stanowczo ruszył w moją stronę, mijając niecierpliwym ruchem dwóch wojów niosących ciężko rannego towarzysza. Zauważyłem jego niezmierne wzburzenie, policzki mu nerwowo drgały.

— Boemundzie! Żądam, żeby ten niewierny natychmiast został zgładzony! Jeśli nie rozkażesz tego zrobić, sam poderżnę mu gardło!

Stałem prawdziwie zdumiony, widząc tego spokojnego zazwyczaj człowieka, starszka zatopionego w księgach i teologicznych dysputach, który niczym krwiożercze zwierzę domagał się krwi. Zanim odpowiedziałem, przypatrzyłem się związanemu Berberowi. Nosił wprawdzie obszarpany burnus, ale od razu zwróciłem uwagę na jego postawę i dłonie.

— Co zrobił ten Saracen? — zapytałem sierżanta idącego na czele grupy.

— Próbował zabić wielbnego papieża, księżę. Ale byliśmy czujni.

— Znakomicie, sierżancie. Odprowadźcie go do ładowni i postawcie straż. Będę chciał go wypytać. — Już wtedy czułem, że powinienem bliżej zainteresować się wszystkim, co tyczy dziwnego zachowania papieża. Nie wiedziałem jeszcze tylko, dlaczego chciałem tak uczynić. Przeczucie. Od dziewiątej wiosny życia, kiedy o mało co nie zginąłem w pułapce zastawionej przez piratów tureckich, nauczyłem się ufać przeczuciom.

— Młody księżę! Chyba raczysz żartować?! — Grzegorz pozornie się uspokoił, ale wiedziałem, że zaraz znów wpadnie w furję. — Ten syn szatana chciał mnie zabić, a ty darowujesz mu życie? To hańba dla twego domu, tak mnie traktować...

— Wasza wielbność! — przerwałem mu gwałtownie. — Stoisz na pokładzie mego statku, więc rozejrzyj się: czy widzisz jakiegoś swego sługę? Nie, bo wszyscy oprócz Normanów cię opuścili... — I dodałem już bardziej pojednawczo: — Zatem racz uszanować mą wolę. Chcę się dowiedzieć, czemu usiłował cię zabić.

— Bo to niewierny pies! Inni Saraceni czciliby jego imię!

— Wątpię — odparłem spokojnie, widząc, że i z Grzegorza powoli spływa fala gniewu. — Gdybyś, wasza wielbność, lepiej znał Arabów, wiedziałbyś, że pomiędzy ludźmi Sulajmana nie znalazłby się żaden, który chciałby cię zabić dla sławy czy srebra. Dla nich byłoby to okrycie hańbą siebie, a przede wszystkim swego szejka. Powód musiał być inny. Dowiem się prawdy.

Nic nie rzekł, odebrał tylko swój sztylet i kazał się prowadzić do kajuty. Ale jego oczy gorzały nienawiścią. Nie myślałem nigdy, że takie uczucie jest w stanie żyć w duszy starca, którego wielokroć uważałem za prawdziwie świątobliwego męża. Utwierdził mnie swym zachowaniem w pewności, iż jak najszybciej powinienem zająć się tą sprawą. Jeśli Saraceni chcieli śmierci papieża, musiałem dowiedzieć się czegoś więcej, bo od tej chwili Grzegorz miał przebywać na naszej ziemi, zaś władztwa Arabów leżały tuż — na Sycylii i w Afryce. I zdawałem sobie sprawę, jak bardzo niebezpiecznymi sąsiadami mogli się okazać.

* * *

Zdecydowałem się zejść do więźnia, kiedy już płynęliśmy pod pełnymi żaglami ku Apulii. Nie powiem, powodowała mną głównie ciekawość, choć wolałbym myśleć, że postanowiłem się zająć Saraceniem, gdyż domyślałem się czegoś niezwykłego. Ale nie, jak już rzekłem — po prostu przeczucie.

Spał, więc strażnik wylał mu na głowę wiadro wody. Krztusząc się, Saracen spojrział na mnie wyjątkowo rozbudzonym wzrokiem.

— Panie, szlachetny pośród szlachetnych. — Zdziwiłem się, słysząc zdanie wypowiedziane

czystym frankijskim. — Widzę w twych oczach sprawiedliwość, która jest cechą mądrych władców. — Jeśli chciał mnie ugłaskać pochlebstwami, osiągnął cel. — Ty zrozumiesz, czym się kierowałem, kiedy zwróciłem broń przeciw ojcu wyznawców wielkiego proroka Chrystusa.

Nie odpowiedziałem, czekając na dalsze słowa. Zaintrygował mnie, gdyż nie wyrażał się jak inni Afrykańczycy ze świty Sulajmana — jego sposób mówienia i ogląda przypominały zachowanie książąt arabskich z Sycylii, z dumą wywodzących swe rody spośród Towarzyszy Proroka. Nie miał jednakże arabskich rysów twarzy. Nie zdziwiłbym się, gdybym spotkał go pośród najznamienitszych wasali cesarza Bizancjum albo pomiędzy italskimi poddanymi cesarza Niemców. Ten człowiek pasował... wszędzie.

— Opowiem ci, panie, pewną historię. Zapewne w nią nie uwierzysz, ale nie pozostało mi nic innego...

Kazałem sobie przynieść stołek i coś do jedzenia. Zapowiadała się długa noc.

* * *

Rankiem owinięte w płótno zwłoki wrzucono do morza. Ponurej ceremonii przyglądał się także Grzegorz. Kiedy dostrzegł moje spojrzenie, uśmiechnął się, skinął z uznaniem głową i wrócił do kajuty. Przez całą podróż twierdził, iż rozkołysane morze nie sprzyja jego zdrowiu. Ale zauważyłem, że mimo podeszłego wieku, trzyma się znakomicie niczym młodzieniaszek. Raczej starał się sprawiać wrażenie biedaka steranego życiem i niedawną utratą tronu pierwszego biskupa chrześcijańskiego świata.

— Kto to był? — Spod pokładu wywłókł się mój ojciec, noszący na twarzy ponure ślady wczorajszego oblewania zwycięstwa.

— Jeden z naszych, umarł w nocy od ran. Ale gdyby pytał Grzegorz, rzeknij, że morze przyjęło Saracena, który chciał go zgładzić — odparłem.

— Aha — mruknął bez zainteresowania. — Dobrze, synu, że pilnujesz tych wszystkich spraw, bo polityka mnie już nie zajmuje. Mam jej dość, wołę teraz rzeczy większe — wojny, walki, potyczki, najazdy! Dopiero co padło przed nami największe miasto świata, a już myślę, co byśmy mogli złupić...

Kochałem go za tę prostotę — choć w przeszłości potrafiła się przerodzić w prawdziwą chytrość, wszak nie bez przyczyny nazywano go Guiscardem, Rozważnym. Teraz uzupełnialiśmy się znakomicie — mnie zostawił politykę, a sobie walkę. Nadal był w tym niezrównany, jak trzydzieści lat temu.

— Ojcze, największym miastem świata jest Konstantynopol — rzekłem z uśmiechem. — Ale nie martw się...

— Ech, mój synu, widzę, że znów myślisz o ponownym uderzeniu na Bizantyjczyków. — Zaraz spowaźniał. — To byłoby ukoronowanie mego życia, jednak wojska greckie to nie to, co ci tutaj... — Machnął ręką na północ, w kierunku Rzymu.

— Przepędziliśmy z Rzymu jednego cesarza, dlaczego zatem nie mielibyśmy innego wyrzucić z Konstantynopola? Przecież zeszłego lata pobiliśmy Greków w Epirze — roześmiałem się. Wyciągnąłem z dłoni ojca kielich pełen wina i sam go opróżniłem. — Kto wysoko sięga, ten wiele zyskuje.

— Albo mocno obija sobie tyłek — mruknął, krytycznie oglądając trzymany w drugim ręku pusty już dzban.

* * *

Udało się! Następny Saracen wrócił żywy z podmorskiej wyprawy. Całe szczęście, że nie potrafi mówić po frankijsku, bo swoimi opowieściami wystraszyłby mi pokojowców, a może i mnie samego też. W każdym razie, pierwszy krok zrobiony — kapsuła zeszła na dwadzieścia łokci. Wedle moich obserwacji, Saracen ma jeszcze dwa tygodnie życia, tyle bowiem trza Drangianosowi, by udoskonalił swój aparat — bąbel Aleksandra musi opaść znacznie niżej niż na dwadzieścia łokci.

* * *

Na wysokości Neapolu dopadła nas burza. Nie spodziewaliśmy się zmiany pogody, a kapitan statku, jeden z najbardziej doświadczonych żeglarzy z Amalfi, zaklinał się, że nic jej nie zapowiadało. Czarne fale, z koronami osrebrzonymi światłem księżyca, przelewały się przez burty z rykiem, który wyciskał z mej piersi modlitwę o szybką śmierć.

Nie znosiłem morza, a co dopiero sztormu. Wprawdzie już podczas pierwszej wyprawy przeciw Grekom nauczyłem się, nawet przy najwyższych falach, dzierżyć żołądek w ryzach, ale przeżywałem katusze prawdziwie piekielne.

Tej nocy było znacznie gorzej.

Sztormu tak gniewnego, żeby starzy marynarze płakali ze strachu, nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Rzeczywiście, był ognisty jak diabli język — na Boga, to, co zaczęło się ze mną dziać, przypominało gorączkę, na jaką zapadłem niegdyś pośród bagien afrykańskich słonych jezior. Żołądek ścisnął się w pięść, serce kołatało jak ptak w klatce, a oczy ledwo trzymały się w oczodołach.

Pośród tego piekła kroczył Grzegorz. Staruszek trzymał się wspaniale — szedł wyprostowany, nie zwracając uwagi na zimne bryzgi, zalewające go od stóp do głów. I to mnie właśnie dziwiło — pamiętałem, jak dawno temu Hildebrand, bo tak się nazywał, nim przybrał imię Grzegorza VII, wił się na okrętowych kojach podczas sztormów. A teraz szedł niby powiernik morza, jakby znał wszelkie tajemnice głębin, jakby był za pan brat z Posejdonem.

Zbliżył się, pewnie stąpając po śliskich deskach. Znalazł się o wyciągnięcie ręki, a ja poczułem, jak ustępują wszelkie dolegliwości. Stałem pośród wichru, na chylącym się to na jedną, to na drugą burtę pokładzie, ale... nie miałem choroby marynarzy!

— Boemundzie — mimo że Grzegorz szeptał, dokładnie go słyszałem. — Nie spodoba ci się to, czego możesz się dowiedzieć...

— O czym mówisz? — zwróciłem się do niego tak, jak przed laty do wujka Hildebranda.

— Chłopcze, zajmij się wojną. Bizancjum czeka na ciebie.

Przestraszyłem się nie na żarty. Nie, żebym bał się każdego staruszka, który przemawia zagadkami, ale Grzegorza... już Hildebranda można się było bać — miał niezwykły dar wpływania na ludzi. Dar od Boga. Zaś kiedy został papieżem, jednym słowem wzbudzał w słuchaczach strach lub radość, zależnie od własnej chęci. Teraz zaś obawiałem się Grzegorza, którego zawsze lubiłem, choć od lat przede wszystkim poważałem, a potem szanowałem jako namiestnika Piotrowego.

— Wojna... wojna zaczeka, teraz czas, by urządzić ci nową stolicę patriarszą.

— Nie łudź się, chłopcze. — Uśmiechnął się lekko. — Moje papieskie dni minęły. Ale mam po co żyć. Zaś ty jak najmniej zajmuj się mną, a jak najwięcej wojną. Ona jest twoim przeznaczeniem.

W pierś mą uderzyła następna fala, niemal przewracając na pokład. Obok przebiegł marynarz, wrzeszcząc coś do dwóch szaleńców uczepionych przedniego masztu i próbujących na nowo przywiązać do niego kilka skrzyń. „Dlaczego tych kufrów nie ma pod pokładem?” — przemknęło mi przez myśl.

Grzegorz zniknął. Nie mógł tak szybko zejść do kajuty, więc... Zapewne... zapewne tak źle się czułem, że wyobraziłem sobie coś, co mogłoby złagodzić chorobę marynarzy. A Grzegorz, wujek Hildebrand, którego kochałem jako dzieciak, był takim lekarstwem. Jednak wraz z falą zniknął jego obraz, a z nim — dobre samopoczucie.

— Kto, na Boga, pozwolił trzymać na pokładzie skrzynie?! — wydarłem się na najbliższego z marynarzy.

— Książę... — jego głos tonął w zawierusze. — Ustawiliśmy.... rozkaz ojca świętego...

* * *

Z głębokości większej niż czterdzieści łokci nie wrócił żaden Saracen. Szkoda — tym razem chciałbym, by podzielili się ze mną wiedzą o tym, co widzieli. Cóż, przecie nie chodzi mi o ryby,

tych mam w zamkowej kuchni pod dostatkiem — chcę się dostać na dno tej przeklętej zatoki! Dość już czasu strawiłem na opłacanie prób Drangianosa. Jeśli za dni czternaście nie stworzy odpowiedniej maszyny, sam powędruje na dno. Z dużym kamieniem u szyi.

* * *

Wraz z rankiem nadeszła poprawa pogody. Znużeni aż po granice obojętności ludzie ledwie mieli siłę stawać na stanowiskach. Zapasowe żagle były w niezłym stanie, więc z miejsca je rozwinęliśmy i pozęglowaliśmy w stronę Salerno, gdzie mój ojciec lubił spędzać większość czasu.

Skrzyń na pokładzie już nie zauważyłem, tylko zerwane sznury smętnie zwisały się z przedniego masztu. Stwierdziłem z ponurą satysfakcją, że Grzegorz dostał nauczkę za swoją głupotę. Taka niegodna myśl opadła mnie chyba dlatego, iż papież — czy też jego mara — nastraszył mnie poprzedniej nocy. Poza tym wciąż po głowie kołatała mi się rozmowa z Munkidhem — Saracenenem, niedoszłym zabójcą papieża.

„Strzeż się Szejtana! Uwił cierniste gniazdo w samym sercu waszej wiary... Myśleliśmy, że to jego ramię odcięliśmy niegdyś na wieki, ale odrodziło się w miejscu, którego nie spodziewaliśmy się nawet my.”

Grzegorz pojawił się na pokładzie niedługo po mnie. W spokojnym blasku słońca jawił się niczym człek stojący na krawędzi grobu. Zniknęła siła i majestat, zaś w porównaniu z tym Grzegorzem, którego wizję miałem ostatniej nocy, wydawał się dwustuletnim starcem. Ale na pooranej zmarszczkami twarzy rozciągał się świeży, pogodny uśmiech, jakiego nie spodziewałbym się po kimś, kto jest wygnańcem.

— Piękny dzień, Boemundzie, piękny dzień. — Wpatrzył się w słońce, jakby wcale go nie oślepiało. — A każdy następny będzie jeszcze piękniejszy...

— Ojczy święty, nie chcę być zwiastunem złej nowiny, ale w nocy, podczas sztormu, woda zabrała twoje skrzynie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego kazałeś je przenieść na pokład. Sam pamiętam, że umieszczono je w ładowni...

— Synu mój, należy raczej dziękować Bogu, że wyratował nas z tej straszliwej burzy. Cóż tam kilka skrzyń, choćby nawet skarby nie wiem jakie zawierały... — ton miał lekki, zupełnie nie przejął się uszczupleniem swego już i tak wcale niepokaznego majątku.

Wzruszyłem ramionami, choć tak naprawdę byłem zadowolony, że rozmawiam znów z tym samym Grzegorzem, którego pamiętałem z dzieciństwa. Koszmary nocy uleciały i miałem nadzieję, że więcej nie wrócą.

* * *

Dotarliśmy do Salerno bez dalszych przeszkód. Grzegorz łaskawie skorzystał z propozycji mojego ojca i przyjął gościnę w zamku. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak zgarbiony staruszek radośnie poruszał się po komnatach, z uśmiechem podziwiając wnętrza, zdobne śladami panowania Bizantyjczyków, Longobardów, a teraz nas, Norma — nów. Poruszał się dziarsko, choć długie spacerowanie sprawiały mu trudność. Gdzieś stracił tę niespodziewaną siłę, objawioną w czasie podróży morskiej, jakby zniknęło źródło tajemnej, wspierającej go siły. Jej miejsce zajęła świeża radość, tak mało pasująca do niepewnych ruchów.

— Synu, widzisz tę kolumnę? — wskazał.

— Tak, ojczy.

Surowa i zniszczona, pośród wyszukanych kolumn wzniesionych przez Bizantyjczyków, wydawała się bardziej samotna od drzewa rosnącego na szczycie góry.

— Widzisz... Ona stoi tu od tysiąca lat. Tysiąca, a może od dziesięciu tysięcy... — W zamyśleniu nawet nie spostrzegł, iż liczby takie zdolny był sobie wyobrazić jedynie w odniesieniu do żołnierzy, na pewno nie do lat. — Wszystko wokół się zmieniło, wszędzie na miejscu ruin wzniesiono młodsze budowle. Ale ona nadal wspiera nowy dach, obudowana u swych stóp nową posadzką. I wytrzyma jeszcze długo.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, lecz nie przerywałem. Zbliżał się gorący wieczór, miałem wiele czasu, nim wreszcie zajmę się sprawami państwa.

— Są siły, które rządzą światem od niepamiętnych epok. — Zesztywniałem, czując ponury oddech wieków, zimny i nieprzyjazny, przywołany... słowami Grzegorza? — Wszystko inne mija, zostają tylko one. Czasem zapomniane, czasem w ukryciu, pośród znacznie piękniejszych. Ale pamiętaj, że one właśnie stanowią o mocy i porządku świata.

Nadal nie wiedziałem, co chciał rzec, wszakże przeraziło mnie to, czego się domyślałem dzięki niejasnym wzmiankom Berbera Munkidha. Stałem przy kolumnie i pozwoliłem, żeby Grzegorz się oddalił. Oparłem czoło o chłodny kamień, ale zaraz się wyprostowałem, opanowany wstrętem. Naraz zapragnąłem znaleźć się jak najdalej od okropieństw, o których szeptał saraceński jeniec, od potępienia, wypełniającego każde słowo papieża. Byłem przerażony.

* * *

W specjalnie przysposobionym lochu, a właściwie obszernej komnacie z wszelkimi wygodami, gdzie mój ojciec przetrzymywał niegdyś porwanych dla okupu arabskich emirów, teraz ja umieściłem własnego gościa. Grzegorz bardzo by się zdziwił, gdyby ujrzął saraceńskiego zamachowca, który miał się lepiej niż dobrze. Wydało mi się nawet, że lekko przytył. Za to był przygnębiony.

— Nie mogę tu dłużej tkwić — szepnął na mój widok.

Skinąłem głową. Właśnie dlatego przyszedłem.

— Wiesz, że nie mam zamiaru więzić cię tu wiecznie, ale... nikt, kto był wtedy na moim statku, nie ma prawa cię zobaczyć. A to znaczy, że może cię pamiętać każdy ze znaczniejszych rycerzy tego zamku.

— W takim razie pozwól mi odejść! Dłużej nie wytrzymam w tej klatce!

— Munkidh, proszę, byś wytrzymał jeszcze dwa, góra trzy dni.

— A co wtedy? — Myśl, że niedługo coś się zmieni, wyraźnie dodała mu sił. Już nie miotał się po komnacie, usiadł na sofie i sięgnął po suszone owoce.

— Wtedy mój ojciec, razem ze swymi Towarzyszami Stołu, rusza na wielkie łowy. Postarałem się, aby spośród jego zaufanych rycerzy zostali na zamku tylko ci, którzy cię nie znają.

— Chyba nie myślisz o... buncie?!

— Niechaj Bóg broni! — Omal się roześmiałem. Do wielu koszmarów wojny byłem zdolny, ale nie do walki z własnym ojcem. Ze wszystkimi z rodziny, ale na pewno nie z nim.

— Nikogo nie zabijemy. Będziesz musiał dostać się do komnat Grzegorza.

Siedział spokojnie, kiedy tłumaczyłem, o co chodzi.

— Rozumiem. Ale dlaczego nie pozwolisz mi zgładzić Grzegorza? — spytał w końcu. — To rozwiązałoby wiele spraw...

— Raczej skomplikowało — przerwałem mu, myśląc przede wszystkim o polityce. — Poza tym, on już nie jest niebezpieczny. Nie patrz tak, nie wiem, skąd mam tę pewność. Ale mam. Poddał się losowi, niczego więcej nie poszukuje.

Wzruszył ramionami. Zgodził się ze mną, ale z przymusu.

* * *

Koniec końców, nie spuściłem Drangianosą na dno morza w towarzystwie kamienia. Skąd bym wziął drugiego Greka z Baktirii, który by się znał na tych wszystkich naukach, zapomnianych od czasów Aleksandra i Arystotelesa? Środki na prowadzenie bezsensownych poszukiwań są na wyczerpaniu. Roger Borsa, mój książęcy brat z Kapui, nie skąpi starań, by uprzykrzyć mi życie. Gdyby nie nasz stryj z Sycylii, już dawno rzucilibyśmy się sobie do gardeł. Nietrudno przewidzieć, kto by wygrał. Wiedziałem, że dysponuje hufcem dziesięciokrotnie liczniejszym od mojego. W każdym razie, jeśli nie zdarzy się cud, mój brat zje mnie na śniadanie.

* * *

Niespokojnie przespałem noc, myśląc o wyprawie Munkidha do komnat Grzegorza. Na mój rozkaz nikt nie pilnował Saracena, a że dostał normański strój, spokojny byłem, iż nie wzbudzi podejrzeń. Niepokoilo mnie raczej to, co mogło się przytrafić Berberowi u celu wędrówki...

Poszedłem do niego rankiem. Żył.

— I co znalazłeś?

Przeciągnął się, ziewnął i rozłożył bezradnie ręce.

— Nic.

— Jak to nic?! Kiedy wyruszyliśmy z Rzymu, Grzegorz kazał spakować wiele skrzyń pełnych ksiąg...

I nagle zrozumiałem. Skrzynie, bezsensownie przywiązane do masztu, a potem zmyte przez fale, były właśnie tymi, na których nam zależało! Tylko dlaczego akurat je papież kazał wynieść z ładowni?

Kiedy opowiedziałem Munkidhowi, czego się domyślałem, roześmiał się serdecznie. Wygodnie rozparł się na atlasowych poduszkach.

— Chyba teraz sam rozumiesz, dlaczego tak się zmienił po rejsie? — powiedział, szczerząc zęby.

— Pozbył się magicznych ksiąg, które mu zatruwały życie. Znów mógł się zbliżyć do Boga...

— Pomyśl wreszcie! — krzyknął, zrywając się z łoża. — Księgi to tylko księgi! Niektóre mogą być pełne zaklęć, ale nie mając talentu magicznego albo pomocy demonów, nie zdołasz nic z nimi zrobić.

— Czyli pośród ksiąg znajdowało się coś jeszcze...

— Może, a może Grzegorz pozbył się ich, bo dobrze wiedział, że bez zawartej w nich wiedzy nie będzie w stanie nic uczynić. A nie miał ochoty już nic czynić.

— Stracił wiarę?

— W Boga? Tak, wiarę w Boga stracił już dawno temu. Mówię o czym innym. Albo uwolnił się w jakiś sposób od demona, albo wypaliła się w nim nadzieja, że odnajdzie coś, czego się spodziewał, dlatego zrezygnował ze swych zamierzeń.

— Więc może odzyskał wiarę w Boga? — szepnąłem.

— Wątpię. Raczej przekazał swoją plugawą wiedzę następcy. Komuś, kto ma dokończyć podjęte przez niego zadanie...

— Komu?

— Nie mam pojęcia — westchnął — i on pewnie też. Ale nie bez przyczyny zatopił księgi. Gdyby chciał je zniszczyć, oddałby pergamin ognioni. Zapewne zabezpieczył je nie tylko przed wodą, ale i wpływem czasu. Czarami. One wypłyną. W sobie tylko znanym czasie i miejscu.

W komnacie było ciepło, a jednak przeszył mnie dreszcz strachu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Wierzyć temu saraceńskiemu przybłędzie, czy czcić Grzegorza jak świętego męża, który przez całe życie walczył z zachłannością cesarzy i kleru? Który próbował uzdrowić Matkę naszą, Kościół?

— Nie wierzę ci — mruknąłem, podchodząc do drzwi.

— Wiem. — Uśmiechnął się. — Ale nie martw się, nikt mi nie wierzy.

W tym jednym zdaniu zawarł tyle goryczy, że aż przystanąłem. Ale nie odwróciłem się. Pchnąłem drzwi i wyszedłem, nie zamykając lochu.

* * *

Grzegorz umarł rok później. Ni ziarno prawdy nie tkwiło w rozpuszczanych przez cesarza Henryka pogłoskach, że otruliśmy go my, Normanowie. Po cóż mielibyśmy zabijać jedyne prawowitego papieża, który z własnej woli żył w naszej gościnie?

Odszedł cicho i z godnością, wyznaczając następcę. Oczywiście, ani cesarz, ani kardynałowie podległej mu Italii nie uszanowali ostatniej woli biskupa Rzymu.

Obserwowałem go w tych ostatnich chwilach. Wciąż miałem mnóstwo współczucia dla wielkiego człowieka umierającego na wygnaniu, wciąż szanowałem za niezłomność i odwagę. Obserwowałem go chyba po to, żeby zobaczyć, czy nie ulatuje z niego demon jakiś, duch nieczysty, który wedle słów Munkidha miał mu pomagać w zgłębianiu tajemnic ksiąg magicznych, leżących teraz na dnie morza.

Nic takiego nie zobaczyłem.

Umarł cicho i z godnością.

* * *

W końcu nasze próby zostały uwieńczone powodzeniem. Kapsuła schodziła głęboko, a siedzący w niej człowiek swobodnie oddychał dzięki pompie podłączonej do łodzi. Za pomocą prostych dźwigni poruszał ramionami zakończonymi szczypcami, które były w stanie podnosić z dna nawet spore przedmioty.

Co z tego! Urządzenie było cudowne i dobrze działało, ale wśród bezmiaru morza nie potrafiliśmy odnaleźć miejsca, gdzie zatонуło to, co chciałem znaleźć. Może tu, a może tam — kto by potrafił urządzić poszukiwania na dnie rozległej zatoki. Dlatego macaliśmy na ślepo, kierując się jedynie intuicją.

Przez całe miesiące czepiałem się nadziei, że się uda. Nie udało się. W końcu rozkazałem zakończyć badania. Teraz szczupłe dochody, jakie mi jeszcze pozostały, przeznaczyłem na wyposażenie nowej pieszej roty. Kryształowa kapsuła, starannie zabezpieczona, powędrowała do zamkowych lochów.

II

W Roku Pańskim 1090, kiedy nędznie wegetowałem, a mój książęcy skarb opierał się głównie na dochodach z miasta Tarent, wystarczających zaledwie na skromne wypadki przeciw Arabom i Bizantyjczykom (szczerze mówiąc, właśnie one przynosiły gotowiznę, którą przeznaczałem na opłacanie stałej obsady swych trzech zamków), wreszcie wydarzyło się coś, o czym niegdyś marzyłem. Ale czy marzenia powinny się spełniać?

Kiedy wracałem samotnie z polowania, a towarzysze zostali daleko w tyle, pozwoliłem rumakowi truchtać po nadbrzeżnym piasku, omywanym leniwymi falami. Wtem zatrzymał się gwałtownie, zaparł przednimi nogami i prychając, próbował wycofać. Rozejrzałem się, myśląc, że może wyczuł rysia albo wilka, ale nie. Za to zauważyłem coś ciemnego na plaży przed sobą. Leżało na granicy lądu i morza, jakby nie mogło się zdecydować, do którego świata należy. Koń nie chciał się ruszyć, więc zsiadłem, rozchlapując wodę.

Skrzynia — drewniana, obita przegniłą, malowaną skórą. Metalowe okucia były przeżarte rdzą. Mimo to kufer trzymał się dzielnie — miałem wrażenie, że mógłby przetrwać w jednym kawałku jeszcze sto lat.

Wiesz, co to jest — powiedział ktoś. Odwróciłem się gwałtownie. Nikogo. *Nie szukaj wokół, tylko w sobie* — roześmiał się.

Głupawo spojrzałem na własny tors, nogi, ale rzecz jasna, nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego.

Oczywiście. Wiedziałem, a raczej przeczuwałem wszystko od kilku lat. To tkwiło we mnie. Właściwie nie „to”, lecz pazerny demon, którego nie mogłem zobaczyć w chwili śmierci Grzegorza. Nie mogłem, bo był już w moim ciele. Przesączał się od nocy na statku, od chwili, kiedy wyruszyliśmy z Zamku Świętego Anioła.

Pożalowałem teraz wypędzenia Munkidha z salerneńskiego zamku. Pewnie by poznał, że dopadł mnie demon Grzegorza, że właśnie moją osobę papież wyznaczył na swego następcę. Nie wiem, kim był Munkidh, nigdy go o to nie spytałem, jednak miałem pewność, iż gdyby stał u mego boku w noc śmierci Grzegorza, wyczułby, co się święci. Może potrafiłby coś poradzić... Może zaś po prostu by mnie zabił.

Na to nie ma rady — odezwał się głos. — Jesteś mój, a ja jestem twój. Otwórz skrzynię.

Czułem, iż nie ma nade mną władzy, choć od razu domyśliłem się, z czyjego podszeptu przez tyle miesięcy marnowałem pieniądze na odnalezienie kufrów na dnie morskim. Czułem równocześnie, że demon wie, iż nie może mną kierować, ale pochyliłem się i sięgnąłem ku wieku skrzyni.

Uniosło się nadspodziewanie łatwo, zamki same się otworzyły. Wewnątrz leżały, nie noszące żadnych śladów wody ani soli, ciasno opakowane w grube materie księgi i zwoje. Chwyciłem wolumin leżący na samej górze.

Odwinąłem sukno i oczom moim ukazała się okładka z delikatnej, śliskiej skóry. Dotykając jej, uczułem nieprzyjemny dreszcz, jakbym gładził zeszytniałe ciało trupa. Wytłoczony tytuł, zapisany po grecku, oznajmiał: „Księga krzyków demonów pustyni”.

Wprawdzie to tylko odpis — westchnął obcy — ale trzymasz właśnie w rękach dzieło mego życia!

Wstrząsnąłem się z odrazą. Jeszcze tego brakowało, żeby zamieszkał we mnie demon — Grek!

Nie jestem Grekiem, tylko Arabem! — zachnął się.

Poczułem się jeszcze gorzej.

Wieczorem to ciskałem się po całej komnacie, przysiadając co chwila na łożu, to znów wychylałem z okna, chciwie oddychając rześkim powietrzem. Nie dawała mi spokoju myśl, że tyle czasu pozwalałem się wodzić za nos jakiemuś pogańskiemu demonowi, który zagnieździł się w moim ciele i nie zamierzał ustąpić.

Poczułem się urażony, mój drogi dobroczyńco — odezwał się z westchnieniem. — Już wcześniej, tam na brzegu, zamierzałem cię poprawić, ale jakoś mi z głowy wyleciało: nie jestem demonem. Co więcej, ofiarą prawdziwego demona nie jesteś ty, a właśnie ja. Moje imię brzmi Abdul al..—Hazred.

Miałem kompletną pustkę w głowie — demon, nie-demon, a może demon, tylko kłamie...

Wiem, że jeszcze mi nie wierzysz, ale mam sposób, aby cię przekonać. Uwolnię cię od swej obecności, jednak musisz mi pomóc pozbyć się demona, który pewnego pięknego dnia...

* * *

„Tuż po porannych modłach wyszedłem ze swego wygodnego domu, aby spotkać się z kupcem korzennym w hammamie, łaźni, znajdującej się tuż przy suuku. Sudańskiego niewolnika, zwykle towarzyszącego mi w przechadzkach po mieście, tym razem nie zabrałem ze sobą, bo nie miałem zamiaru nic kupować. Potrzebowałem nie przypraw, a wieści, jakie kupiec miał dla mnie zdobyć w parnych, pamiętających tajemnice dawnych wieków miastach Indii. Niecierpliwie czekałem na rozmowę, ciekaw, czy udało mu się czegoś dowiedzieć o pewnych mrocznych istotach, które od niezliczonych tysiącleci starały się trzymać ludzkość w nieświadomości co do prawdziwej natury świata. Dzięki tymże wieściom zza morza zamierzałem ukończyć swe nowe dzieło...

Nie doszedłem do hammamy. Kiedy przepychałem się przez tłum panoszący się na suuku, rozległy się przeraźliwe piski, tak przejmujące, niskie, że zamarłem. Wiedziałem... Czytałem w prastarych zwojach o takich dźwiękach... W jednej chwili zrozumiałem, co mnie czeka.

Uderzył od góry, wielkimi skrzydłami rozpraszając tłum wokół mnie. Ludzie panicznie rozbiegli się, nie mogąc nawet dostrzec, przed czym uciekają.

Zwróciłem twarz ku słońcu, aby ostatni raz nacieszyć oczy jego blaskiem. Potem był już tylko ból...”

* * *

...porwał mą duszą na suuku w Damaszku i teraz nie daje mi spokoju. Wciąż pamiętam ból, jaki zadał mi niewidzialnymi pazurami.

— A Grzegorz? Kto w takim razie opętał duszę Grzegorza — ty czy twój demon? — spytałem, gdyż wreszcie postanowiłem poukładać w głowie wszystko, czego mogłem się dowiedzieć.

Racz nie nazywać go moim demonem, gdyż powstał w niewyobrażalnie dawnych czasach, kiedy

przodkowie twoi, a moi zapewne również, walczyli o przeżycie z hordami białych małpoludów, które pewnego dnia zalały nasz świat, uciekając przed czarami potężniejszymi niż... Ekhem, wybaczone, zdaje się, że nawet nie wiesz, o czym mówię. Wróćmy zatem do Grzegorza. Tak, to ten demon objął go w posiadanie.

— Dziwne — mruknąłem niedowierzająco. — Munkidh mówił, że demon Grzegorza ustąpił z jego ciała, by poszukać następcy. Myślałem, że następcą zostałem ja...

Zaiste, szczęśliwym jesteś człkiem, skoro miałeś zaszczyt poznać wielebnego Munkidha! Prawda to, że wielki Munkidh Powiernik zaszczycił cię rozmową?!

— I to niejedną. Ale kiedy indziej opowiesz, kim jest Munkidh — dodałem pospiesznie — choć sam się domyślałem, że musi być niezwykłą postacią. Mów mi o demonie!

Demon przeszedł zapewne na kogoś innego. Na kogo, nie wiem, ale człowiek ten musiał mieć bliski kontakt z umierającym Grzegorzem. Jednak demon nie od razu opanowuje ofiarę — najpierw mami ją zmyślnymi słowami, a potem dopiero może nią zająć, ale to trwa. Ja z kolei postanowiłem udać się do gniazda twej duszy, gdyż spostrzegłem, iż jest odpowiednim człkiem do wyzwolenia mnie z oków.

— Zatem, kogo opanował demon... — spróbowałem się zastanowić.

Boemundzie, teraz sprawa to mniejszego znaczenia, bowiem jeśli pomożesz mi uwolnić się od niego, osłabiony demon będzie musiał na czas jakiś opuścić świat ludzki, aby pokrzepić swe siły w Szeolu, gdzie się narodził. Zajmie mu to dużo czasu, możesz się nie martwić.

— Pozwól mi teraz zasnąć — poprosiłem. — Muszę odpocząć. I wszystko przemyśleć.

* * *

Nie dał mi długo krzepić się snem. Ledwo świt ozłocił komnatę, a już słyszałem jego głos w swojej głowie. Coś mówił, a ja zawołałem na pokojowca, żeby przyniósł miś z wodą.

Boemundzie, niestety, mamy niewiele czasu. Nie bez powodu postarałem się, by skrzynię wyrwać z objęć morza akurat teraz. Przez następne dwa tygodnie mamy możliwość pokonania demona i zmuszenia go do odejścia z tego świata.

— A to niby czemu? — Pochyliłem się nad misą z wodą i rozpocząłem poranne ablucje.

— Słucham, panie? — Służący spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Nic, Bertrandzie... Możesz odejść — odparłem szybko. Zupełnie zapomniałem, że wciąż czekał, aby mnie wytrzeć.

Czemu? Od dziś Stary Olbrzym zachodzi na niebie za Strzelającym Gigantem. To idealny układ, podczas którego otwiera się najprostsza droga pomiędzy naszym światem a Szeolem, z którego przybył demon. Jeśli chcesz, mogę ci dokładniej rzec o tym jakże korzystnym dla nas ustawieniu gwiazd...

— Dziękuję, wystarczy.

W takim razie potrzebuję dwóch rzeczy: jednego z manuskryptów złożonych w skrzyni...

— Powiedz mi jeszcze coś — przerwałem mu. — Dlaczego kazałeś mi tak usilnie szukać skrzyń w morzu, skoro mogłeś je sprowadzić na moją drogę?

No cóż, Uczylem, że jednak sam je odnajdziesz i zapoznasz się z zakazanymi księgami, a wtedy nawet nie musiałbym przemawiać do ciebie bezpośrednio, tylko podsuwałbym ci myśli, które brałbyś za swoje. Ale nic nie znalazłeś, więc począłem działać.

— Czyli chciałeś moimi rękami pozbyć się demona? — Zmarszczyłem czoło.

Tak, przyznaję. Przyznaję też, że i teraz muszę posłużyć się twymi rękami, bo własnych, jak się domyślasz, nie mam.

— Dobrze, pomyślę o tym.

Tu nie ma co myśleć! Trzeba działać. Jeśli mi nie pomożesz, nie uwolnisz się ode mnie. A ja, nękanym przez demona, stawać się będę coraz bardziej nieprzyjemnym towarzyszem.

Na chwilę przerwaliśmy rozmowę, gdyż służący przyniósł śniadanie. Kiedy tylko wyszedł, zadałem pytanie:

— A ta druga rzecz?

Otóż rzekłem ci, iż jesteś odpowiednim czlekiem do mych celów, gdyż posiadasz rzecz pewną, która będzie nam niezmiernie pomocna w całym przedsięwzięciu.

— A myślałem, że wybrałeś mnie, bo zobaczyłeś prawość skrytą na dnie mej duszy — mruknąłem z przekąsem.

Cha, cha! Prawość? Cóż, jeśli tak wolisz... Czy wiesz, o czym mówię? Na pewno nie wiesz, bo i skąd miałbyś wiedzieć? Na poszukiwaniu podobnego świętego przedmiotu zeszło mi kilka stuleci, odkąd porwał mnie demon. A trudne to były poszukiwania, bo nie mogłem zbyt oddalać się od niego, zaś on postanowił za żer obrać sobie mieszkańców zachodnich krain, tak dalekich od ziem muzułmanów.

Zamilkł na chwilę, a ja zastanawiałem się, co ma wspólnego oddalenie się od państw Saracenów z poszukiwaniami jakiegoś świętego przedmiotu.

Ależ dużo, Boemundzie!

— Wolałbym, żebyś nie podsłuchiwał moich myśli. To jest... poniżające.

Wybacz... ale nic na to nie poradzę. Siedzę w tobie i wiem o wszystkim, co robisz i o czym myślisz... Zaś przedmiotem moich poszukiwań jest jakakolwiek rzecz, którą miał w swych świątobliwych rękach i pobłogosławił wielki prorok Muhammad, oby imię jego było czczone na wieki! Ty zaś...

— No, proszę... — Machnąłem ręką. — Gdybym nie darował Sulajmanowi tego nieszczęsnego łańcucha, nigdy bym nie wpakował się w tę całą awanturę.

Ale podarowałaś — zaśmiał się nieprzyjemnie. — *Zatem musimy się przygotować, już nie mogę się doczekać upragnionej wolności!*

Wcale nie miałem ochoty pchać się w walkę z demonami ani żadnymi innymi ciemnymi mocami, ale cóż było robić... Skinąłem głową.

* * *

Przez skalny komin docierały do wnętrza jaskini ponure świsty silnego wiatru. Wzdrygnąłem się z zimna i bliżej przysunąłem do małego ogniska. Pożałowałem, że jedynemu giermkowi, jakiego wziąłem ze sobą w góry, kazałem zostać w wiosce leżącej u podnóży wskazanego przez Abdula szczytu. Samotność...

Nie jesteś samotny — w głosie Araba zabrzmiała wesołość. — *Ja jestem z tobą!*

— Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło... Kiedy będzie po wszystkim?

Już niedługo, ledwie północ przeminie. Rozłóż manuskrypt.

Wyciągnąłem z sakwy nie księgę, ale papirus nawinięty na gruby, metalowy wałek, zakończony srebrnymi gałkami. Widniały na nich wygrawerowane liczne arabskie napisy — pokręcone zawijasy zapełniały całą srebrną powierzchnię, jakby nieznany artysta bał się zostawić choćby najmniejszą wolną przestrzeń.

Papirus zapisany był znakami, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Setki kresek, na pierwszy rzut oka umieszczonych bez ładu i składu. Dopiero po chwili dawało się wychwycić pewne prawidłowości — kolumny, rzędy, odstępy...

To pismo Czarnogłowych, ludu, którego wysuszone szkielety dawno temu zostały zasypane przez piach. Wmieście Irem, zagubionym pośród upiornych równin Dahmy, Purpurowej Pustyni, odnalazłem sekrety, o jakich ci się nawet nie śniło. A wśród nich ten tekst, spisany na marmurowych tablicach. Skopiowałem go, po czym zniszczyłem tablice. Masz przed oczyma największe tajemnice starożytnego Wschodu.

— Tajemnice Wschodu? Skarby?

Skarby? O, tak! Ale inne, niż myślisz... Nie da się nimi opłacić twojej ulubionej zabawki — żołnierzy, *choć można za ich pomocą wyniszczyć całe armie.*

— Zaczynamy. — Miałem już dość słuchania o tajemnicach, które na zawsze pozostaną dla mnie nieosiągalne. Żeby je poznać, musiałbym podciągnąć się w sztuce czytania. Choć i tak wśród Normanów uchodziłem za dziwaka, gdyż potrafiłem literować napisy łacińskie i greckie.

Jednym silnym ruchem rozwinąłem zwój. Biała wstęga poszybowała w krwawym świetle

ogniska, aż jej koniec zniknął w mroku. Patrzyłem jeszcze za nim, gdy nagły wybuch ogniska zmusił mnie do odskoczenia. Palilo się teraz niczym beczka pełna ognia greckiego. Grota rozświetliła się ponurą luną, która wypełniła me serce przerażeniem. Czułem, że zaczyna się dzieć coś niedobrego.

Wyjmij szablę proroka!

Posłusznie wyciągnąłem ostrze i ustawiłem je pionowo przed sobą. Krwawy błysk odbił się od nagiej głowni, oslepiając mnie na chwilę. Byłem zupełnie sparaliżowany — ale ze strachu, nie z powodu wpływu woli al-Hazreda.

Wstrząs przewrócił mnie na kamienie, z góry posypały się odłamki skały. Huk zagłuszył nawet trzask płonącego ognia.

— Abdul! Abdul! Co się dzieje?!

Nie odpowiadał, a może po prostu go nie słyszałem — zdawało mi się, że huk pękających skał rozdziera moją głowę, przygniata do ziemi.

Ból między łopatkami był nie do wytrzymania. Sięgnąłem ręką i natrafiłem na złamaną szablę proroka, głęboko wbitą w me plecy. Nie miałem sił wyciągnąć ostrza.

Tuż za ogniskiem rozwarła się przepaść bez dna, z której buchnął kłęb żółtej pary. Gryzący smród pozbawił mnie na chwilę świadomości. Gdy znów doszedłem do siebie, cały lepiłem się od własnych wymiocin.

Obtarłem usta, bez cienia nadziei patrząc w kierunku rozszerzających się wrót do piekieł. Znów wezwałem Abdula, błagając o ratunek.

Ależ ratuję! — śmiał się. — *Choć nie ciebie, tylko siebie i swój ród.*

Zawylem jak potępieniec.

— Ty synu suki! Dlaczego to robisz?! Przecież obiecałem ci pomóc! Co ty wyprawiasz?!

Nędzny człowieku! Za każdym razem jest tak samo: dajecie się mamić prostymi kłamstwami, w które chcecie wierzyć. Wystarczy, że postawi się przed wami prosty cel — taki, jaki jesteście w stanie pojąć. To wystarczy. Idźcie, niczym...

Ziemia znów zadrzała.

— Dość! — wrzasnąłem. — Nie mów do mnie jak do dziecka!

Ależ jesteś dzieckiem. Dla mnie i mego rodu cała ludzkość to dzieci, które same nie wiedzą, czego szukać, dlatego miotają się pomiędzy sprzecznościami, zamiast zatopić się w spokoju i pozwolić, by czas sam rozwiązywał wszystkie problemy.

Ognisko zahuczało po raz ostatni, kawałki drewna zapadły się w siebie i ogień zamarł. Już nie ożywiała go tajemnicza siła, a mimo to żółto-czerwony blask bijący z otchłani czynił jaskinię tak samo jasną, jak była przed chwilą.

— Ty wcale nie jesteś Abdulem! — Straszliwa myśl przyszła mi naraz do głowy.

Oczywiście, że nie!

Potężne uderzenie rzuciło mną o ścianę groty. Wydawało mi się, jakby ktoś wyrwał moje serce. Panicznie dotknąłem dłońmi piersi. Zamiast twardych mięśni, poczułem miękką, falującą masę. Ze strachu i obrzydzenia nie mogłem nawet spojrzeć na to coś, co właśnie próbowało się ze mnie wydostać. Było częścią mnie, zrodziło się z mego ciała, ale jednocześnie pozostawało tak obce, jak najgorszy z wrogów.

Wiłem się w mękach, przetaczając po kamieniach, a ból rozrywał me wnętrzności z siłą mauretańskiego lwa. Wreszcie ustał, tak samo nagle, jak nadszedł. Spocony, ledwo dysząc, ległem w bezruchu.

Wtedy go zobaczyłem. Krwawa masa, wyrastająca wprost z brzucha, pulsowała, jakby wewnątrz formowało się coś diabelskiego niczym w kotle czarownicy. W masie tej poczęły się tworzyć zarysy zniekształconej twarzy, powykrzywianej gorzej niż ciała bizantyjskich igrców. Cienkie jak muślin powieki okrywały wylupiaste oczy. Do — strzegłem ciemne źrenice, latające w okrutnym tempie to w lewo, to w prawo.

Wreszcie się zatrzymały, a powieki — otworzyły.

Jam jest — tu wymówił chyba swe imię, którego nie zapamiętałem, gdyż nie istnieją w żadnym ludzkim języku dźwięki zdolne je oddać — *Pan Odwagi...*

„Chcesz wiedzieć, co naprawdę widziałem na damasceńskim suuku? Nie wpatrywałem się w niebo, nie szukałem zagrożenia, które objawiło się niskim, świergotającym głosem...

Obserwowałem plac targowy z góry, coraz bardziej obniżając lot, a kiedy dostrzegłem ofiarę, rozpocząłem radosną pieśń przyzwania. Ludzie rozbiegli się, myśląc, że cień wąskich uliczek ochroni ich przed moją mocą — tak naprawdę, gdybym chciał, w jednej chwili połowa tej miejsciny stanęłaby w płomieniach.

Al-Hazred był tak przerażony, że nie mógł ruszyć się z miejsca, tylko tępo wbijał wzrok w słońce. Chyba myślał, głupiec, że mnie dostrzeże.

Zatopiłem szpony w jego ciele. Potem była już tylko rozkosz ucztowania...”

...Zwiecie mnie demonem, i niech tak pozostanie.

Przez jego ślimacze ciało przebiegł następny dreszcz. W bezkształtnej masie, nad oczami, uformował się otwór — cudaczne usta bez warg.

— Wreszcie mogę mówić! — Usłyszałem jego prawdziwy głos. Skrzypiał niczym wrota piekielne, tak przynajmniej myślę.

— Nie... myliłem się... — Ledwie oddychałem, czułem, jak ulatuje ze mnie dusza, ale czepiałem się życia niczym rozbitek pozostałości roztrzaskanego okrętu. Wiedziałem, że muszę być spokojny, inaczej — straciwszy panowanie nad sobą — umrę. Nawet jeśli nie z ręki demona, to ze strachu, który opanuje me serce. — Jesteś demonem... przed którym przestrzegał mnie Munkidh...

— Jessstem... — zasyczał, gubiąc gdzieś ludzki sposób mówienia — ...kimś więcej. Włóczę się po waszym świecie od niepamiętnych czasów, chroniąc przed wami własne plemię.

— Chronisz... przed nami? A w czym... ludzie mogą... zagrozić demonom... — Już nie starczało mi sił.

— Mógłbyś kiedyś stać się niezwykłym człowiekiem, jakim był Grzegorz, więc odpowiem na to pytanie. Potraktujmy je jak ostatnie życzenie skazańca. Albo może — zaśmiał się — życzenie, jakie spełnia dzinn uwolniony z lampy?

Dopał mnie następny atak bólu, a równocześnie demon stawał się coraz większy — zaczęły mu wyrastać odrażające odnóża, cienkie i ruchliwe jak u owada. Domyśliłem się, że już niedługo przyjdzie mi cierpieć. Ten szatan czerpał ciało z mego ciała, przemieniając je w swą nową powłokę, dzięki której mógłby przemierzać nasz świat, by w końcu odnaleźć nową ofiarę. Byłem dla niego jedynie zepsutym mięsem, z którego, jak wiadomo, lęgną się muchy i inne nieczyste owady.

Na dodatek każdy ruch coraz mocniej wbijał w me plecy złamaną szablę. Pragnąłem wtedy, by weszła jak najgłębiej, by wykończyła mnie wcześniej niż zrobi to demon.

— Jestem jednym z niewielu, który pozostał na waszej nędznej ziemi, aby chronić własny lud, skryty w głębinach lub pośród gwiazd, by tam czekać na odpowiedni czas odrodzenia. A czas ów może nie nadejść, jeśli ludzie nadal będą tak pomysłowi w wymyślaniu sposobów zabijania nas

— nas, których zwą demonami. Dlatego od niepamiętnych czasów ja i moi kompani krążymy po świecie, by odnajdywać i niszczyć wszelkie wasze niedołężne narzędzia do walki z nami...

— Szabla pobłogosławiona... przez Muhammada, tak...? Ale czemuż nazywasz je niedołężnymi? Gdyby... takie były, nie trudziłbyś się ich niszczeniem... — Słaby uśmiech na mej twarzy musiał zapewne wyglądać jak przedśmiertny skurcz.

Przymknąłem powieki. W tym geście tłumionego gniewu było coś tak bardzo ludzkiego, że pomyślałem, jak mało różnią się od nas wszelkie istoty boskie. Choć nie, on istotą boską nie był na pewno.

— Na nic twoje marne żarty — wyrzekł powoli. — Zniszczyłem tyle waszych amuletów, tyle broni błogosławionej przez świętych i bogów samych. Tyle miast, że...

— Nie mów, że Rzym też...

— Oczywiście! Rzym — miejsce magiczne, jeden z najsilniejszych symboli wiary na tym świecie... a dla nas — prawdziwe niebezpieczeństwo. Przyznam, że doprowadzenie do zbezczeszczenia kościołów rzymskich przez Arabów zajęło mi sporo lat. Ale opłaciło się. Byliście mi w tym niezmiernie pomocni.

Nie wierzyłem. Nie chciałem wierzyć. To, co uważałem za największy triumf, było naszą, starannie zaplanowaną klęską. Zaciśnąłem mocno zęby, chwyciłem za rękojeść szabli...

Miałem nadzieję, że już mogłem zrobić coś, o czym demon nie dowie się z mej głowy. Zapewne nie słyszał moich myśli, odkąd zaczął się wykluwać. Uświadomiłem to sobie dopiero w tamtej chwili — ten zadufany w sobie wysłannik Belzebuba na pewno skomentowałby jakąś uczoną wypowiedzią mój cichy wywód o tym, że nie jest jedną z istot boskich. Skomentowałby... gdyby ją usłyszał.

Zaczekałem jednak jeszcze chwilę. Chciałem się czegoś dowiedzieć przed śmiercią — bo że zginę w walce, w to nie wątpiłem.

— Na co potrzebne ci były księgi z zatopionego kufra? Tylko dla pokazania mi, że naprawdę jesteś al-Hazredem?

— Też, ale chyba nie myślisz, że znam na pamięć wszystkie zaklęcia, umożliwiające niszczenie błogosławionej broni w trzewiach ziemi? Musiałem wydobyć księgi po tym, jak zbuntowany Grzegorz je zatopił.

— A więc zbuntował się pod koniec? — spytałem z nadzieją.

— Cały czas był zbuntowany. Przecież ci mówiłem, że nie mogę całkowicie opanować człowieka, najczęściej po prostu podszeptuję mu, co ma zrobić. Ale Grzegorz był silny, w końcu zrozumiał, że kroczy nie swoją, a moją drogą.

Kiwnąłem głową. Demon nawet nie wiedział, jak uradował mnie tą wieścią.

— A co zrobiłeś z prawdziwym Abdulem?

— To chyba jasne. Ciało rozerwałem na sztuki, a duszę zamknąłem w kryształowym sarkofagu, który puściłem na morze ognia. W przeklętym mieście Irem znalazł zbyt wiele ukrytych prawd, które niegdyś ja i moi pobratymcy zakryliśmy piaskami pustyni. Jak widać, niezbyt skutecznie... Ale miało być jedno pytanie, tymczasem zadałeś aż trzy. Jak w prawdziwej baśni o dzinnie...

I tak samo jak w baśni, i tym razem nad demonem zapanował człowiek.

Zdołałem wreszcie wyrwać z pleców ostrze uświęcone słowem proroka. Nie wiem, skąd wzięłem na to siły. Chyba dała mi je nienawiść. Patrzyłem, jak z szabli powoli spływa gęsta krew.

Demon wołał, prosił, błagał, starał się odepchnąć ode mnie swymi odnóżami, ale były jeszcze zbyt słabe, by poradzić nawet mnie, człowiekowi u progu śmierci.

— Popatrz — szepnąłem mściwie.

Nie odwlekałem tego dłużej, bo z każdą chwilą stawałem się słabszy, a on silniejszy.

Nie zdołałem jednym ciosem zbyt krótkiego ostrza odrąbać piekielnego korpusu od własnego ciała. Przy zetknięciu z szablą, skóra demona stawała żywym ogniem, czerniała i rozsychała. Wrzeszczał z bólu głośniejszy niż zarzynany wieprzek. Mnie bolało nie mniej, w końcu raniłem własne ciało, jednak z zaciśniętych szczęk nie wypuściłem ni słowa skargi.

Drugie cięcie tylko pogłębiło ranę. W końcu przycisnąłem ostrze do ciała demona i zacząłem przeciągać ułomkiem szabli w tę i z powrotem, jakbym rozkrawał barani udziec...

Teraz i ja wyłem, łzy ciekły mi strumieniami, ale nie przestawałem.

Ale on wył głośniejszy. I to właśnie dodawało mi sił.

Wiem, że próbował użyć przeciw mnie zaklęcia — mamrotał coś w nieznanym mi języku, jednak wciąż gubił się w inkantacji. Kilka razy rwał mu się wątek — widziałem to wyraźnie, gdyż krzyki bólu rozrywały zaklęcie na strzępy.

Uśmiechnąłem się. Nie dorwie ani mego ciała, ani duszy.

* * *

Gdy tylko minęło gwałtowne, za to krótkie trzęsienie ziemi, mój giermek wraz z kilkoma wieśniakami wspieł się na górę i odszukali jaskinię, do której dążyłem.

Znaleźli mnie umierającego — a przynajmniej tak myśleli. Leżałem w kałuży krwi, ściskając w ręku złamaną szablę, wbitą we własny brzuch. Domyślili się, że w czasie trzęsienia ziemi musiałem upaść na złamane ostrze, a potem usiłowałem je bezskutecznie wyjąć. Kiedy zdołali uwolnić z mej kurczowo zaciśniętej dłoni rękojeść szabli, jej głownia rozsypała się w proch, jakby zrobiona została z piasku, a nie damasceńskiej stali.

Zanieśli mnie do wioskowej zielarki, która ponoć dostała niezrozumiałego ataku szału, kiedy dotknęła mego czoła. Przyszła do siebie, jak tylko giermek zaaplikował jej pięć kijów, ale przez cały czas opieki nade mną mruczała pod nosem, że czarta kazali jej przywracać do życia. I owszem, przywróciła mnie do życia, ale z tym czartem to nie miała racji. Chyba... W każdym razie, za te bluźniercze słowa dostała od giermka na odchodnym następnych kilka batów.

Tak przeżyłem. W miesiąc później ściągnąłem z Neapolu na tarencki zamek nauczycieli łaciny, greki i arabskiego. Wątpiłem, bym w całej Italii znalazł znawcę języka owych Czarnogłowych, którzy ponoć opanowali wszystkie sekrety Wschodu. Ale i na ten tajemny język starożytnych przyjdzie odpowiedni czas.

Warszawa, wrzesień 2001 — lipiec 2003